

Jakub Głatsztejn

Podróże Jasia

Rok 1914

Matka sprzeciwiała się mojemu wyjazdowi. Mimo to musiała ustąpić. Interesy ojca szły gorzej z każdym dniem. Nie ulegało wątpliwości, że nadchodzi dzień, kiedy będziemy musieli zaryglować drzwi i zamknąć sklep na dobre. Nawet Ezra, wspólnik ojca, zaczął stopniowo ustępować. Ezra miał dumną twarz goja. Ręce drżały mu ze starości, siwa okryta głowa trzęsła się, a siwa przystrzyżona bródka drżała. Nie umiał ani pisać, ani czytać, ale uważał siebie za arystokratę, ponieważ jego druga żona była litwaczką i nosiła własne włosy zamiast peruki i ponieważ jego syn chodził do gimnazjum. Ezra mówił niegramatycznie po polsku i rosyjsku, ale miał dobrą wymowę. Kiedy do sklepu wchodził jakiś wysoki rosyjski urzędnik albo bogaty Polak, Ezra zrywał się na równe nogi. Mniej ważnych gojów i żydowskich klientów pozostawiał mojemu ojcu. Zwykle ojciec musiał zresztą obsługiwać także i lepszych klientów, bo kiedy tylko ktoś zaczynał się za bardzo targować, Ezra unosił się honorem i pytał uszczypliwie: „Co pan myśli, tutaj jest targ?” Miał na myśli chrześcijański targ, gdzie handlowano tandetą i gdzie niemal za grosze sprzedawano używaną odzież.

Ale nawet dumny Ezra zwieszał głowę z rezygnacją, kiedy zaczęli się pojawiać dziwni klienci – chłopcy w siermięgach – których dawniej, gdy za dobrych czasów zawędrowali do nas do sklepu, przepędzał jak wystraszone kury: „Idźcie! Ten sklep nie dla was. Nie mam nic!”

On sam na razie nie raczył ich obsługiwać, ale kiedy robił to mój ojciec, wyciągając kolejne palta, Ezra zamykał oczy i wydawał z siebie jedno westchnienie po drugim, mrużąc:

– Ładną starość mi zgotowałeś, nie ma co gadać, oj, Panie Wszechświata!

Był to czas, kiedy Polacy zaczęli załatwiać swoje porachunki z Żydami za to, że ci ostatni pomogli wybrać do Dumy posła partii pracy Jagelona zamiast jawnego antysemitę, popieranego przez Polaków. Bojkot zaczął się na żarty, ale wkrótce dotknął głęboko żydowski handel. Sklepy zaczęły pustoszeć. Nawet w wielkim sklepie Chazanowa zdarzały się dni, kiedy nie utargowano nawet jednego rubla. Przychodziły rachunki. Ojciec próbował się ratować anonsami w polskiej gazecie, „Ziemi Lubelskiej”. „Polak-Katolik” przedrukował ogłoszenie Ojca i w sensacyjnym artykule od redakcji strofował „Ziemie” za przyjmowanie żydowskich ogłoszeń.

Mój bilet na statek leżał już w blaszanej puszcze w komodzie. Liczyłem miesiące i tygodnie. Nawet matka zaczęła mnie ponaglać do wyjazdu. Bała się, że sklep pochłonie te kilkaset rubli odłożone na moje potrzeby.

– Icchok, to są krwawe pieniądze. Należałoby je przycisnąć kamieniem. Nie wolno ich ruszać – stale przypominała ojcu.

– A kto je rusza, Ite Racheszi?

Wieczorem zachodziłem do Turków, których u nas nazywano Grekami. Piłem ciepłe mleko i skubałem kawałki cienkiego, słodkiego chleba z rodzynkami, brązowego od szafranu.

Zwierzyłem się nawet jednemu z Turków, że jadę do Ameryki.

– Kiedy?

Zawsze się przed nim popisywałem swoją znajomością tureckiego.

– Za *on* tygodni będę już daleko stąd.

Słowo „tygodnie” musiałem, rozumie się, powiedzieć po rosyjsku. Ale do *on* (dziesięciu) wyliczyłem mu od jednego: *bir, iki, uc, dort, bes, atli, yedi, sekiz, dokuz, on...*

Turek uradowany był moją recytacją liczb, które odkryłem jako załącznik w samouczku do esperanto. Dołożyłem nawet jeszcze na dodatek *yrmi* (dwadzieścia) i *elli* (pięćdziesiąt), żeby wiedział, jak świetnie znam turecki.

Ostatnie kilka tygodni przed odjazdem. Dni spędzone w Ogrodzie Saskim, gdzie wiosna rozkwitała w zielonych alejkach. Moi koledzy i ja chodzimy po ulicach Lublina z głowami uniesionymi wysoko jak bohaterowie *Nowizny* Hamsuna. [...] Nasz malarz, zezowaty, z jednym okiem bladym jak mlecz śledzia, tuż po powrocie z krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych; poeta, który był niedawno w Warszawie i przywiózł ze sobą plik zaświadczeń; skrzypek o wielkiej, potężnej, ciemnej głowie – absolwent warszawskiego konserwatorium, który już występował w sali „Hazomiru”; nasz „pesymista”, zawodowy cynik i wróg kobiet o niezgrabnych rękach z długimi, czarnymi paznokciami – będąc najstarszym wśród nas, zgłębia Upaniszady, cytuje Schopenhauera i Weiningera i chwali się, że woli się onanizować niż mieć do czynienia z kobietami; mój przyjaciel, który spędził półtora roku u siostry w Ufie i dlatego stara się mówić po rosyjsku z syberyjskim akcentem, coraz to wtrącając gdzie popadnie dla wywołania efektu „poniekąd” i „zaiste”; i kilku odczytanych młodych ludzi, którzy szykują się na krytyków i noszą przy sobie tomy Taine'a, St. Beuve'a, Bielinskiego, a przede wszystkim naszego Brandesa.

Przechadzamy się jak pawie i jesteśmy nierealni jak postacie z książek. To są moi Bazarowie, Niechłodowie, Tidemanowie, Karamazowowie, Obłomowowie, Saninowowie, Hamleci i Don Kichoci. Wokół nas kwitnie życie gojów – jedno polskie, a drugie rosyjskie, jedni z drugimi na noże – i życie żydowskie, wiele żydowskich istnień oddzielonych od siebie jak kasty, od żydowskich pariasów po żydowskich arystokratów jeżdżących bryczkami zaprzęgniętymi w narowiste konie. Wokół nas roi się od krawców, szewców, blacharzy, papierosiarzy, murarzy, robotników z cegielni i z cukrowni, garbarzy, ślusarzy, melamedów, nosiwodów, panien służących, pończoszarek, rękawiczników, szwaczek, grajków, perukarzy, magnatów, *dajanów* i *rabonim*, ale my nikogo nie widzimy. Pojedynkujemy się gotowymi frazami, po czym idziemy do mamy na kolację, a przy okazji po kilka kopiejek kieszonkowego.

Poeta recytuje wiersz o wiosnie. Ma smutny, śpiewny głos, który pieści każdą pozbawioną rytmu linijkę. Pozostaje pod dużym wpływem *Módl się i za mnie, mały Ber Joskele* i błaga kwiaty, wiosenne zefiry o przysługę – jaką, już nie pamiętam. Wszyscy mamy o nim wysokie mniemanie. Wiążemy z nim wielkie nadzieje, wierzymy, że zostanie kiedyś chlubą naszego miasta. Nawet ja, który mam już na koncie cały stos wierszy i opowiadań, uważam, że jestem niczym w porównaniu z

nim. Zazdroszczę mu melancholijnych strof, które brzmią jak poezja, nawet zanim się złapie sens słów.

Ojciec poety jest zamożnym człowiekiem. Mieszka w chrześcijańskiej dzielnicy w jednym z najnowszych domów, z lustrami w korytarzu i dywanami na podestach schodów – jednym z tych domów, który całe miasto przybiegło oglądać po zbudowaniu. Przepiękne mieszkanie, wielkie lustrzane salony, ciężkie meble, krzesła obite niebieskim i czerwonym pluszem, wysokie wazony, klatki ze śpiewającymi kanarkami, młoda uprzejma macocha, która wygląda jak starsza siostra poety i wydaje się stanowić część całego nowoczesnego wystroju. Dwoi się i troi, aby dogodzić „dziecku”, a nawet jego kolegom. Poeta ma wspaniałe rzeźbione biurko, w którym trzyma kajet z wierszami napisanymi wyszukany pismem. Jego pierwszy utwór, który odczytał mi drżącym głosem w swoim bogato urządzonym gabinecie, nosił tytuł *Śmierć młodej matki* i wiernie naśladował pod względem melodyjności *Śmierć starego preceptora*. Młody poeta nie ukrywał naśladownictwa. Przeciwnie, chwalił się, jak dobrze imituje mistrza i ja także nie mogłem się nadziwić wierności oryginałowi. Nie mogłem tylko zrozumieć, jak w tej atmosferze komfortu nachodzić go może podobna melancholia i smutek. Myślałem, że nawet jeśli naprawdę oplakuje matkę, to pisanie równie smutnego wiersza, kiedy się ma taką miłą, oddaną, ładną i cichą macochę, jest oznaką pewnej niewdzięczności. W tym okresie pisywałem patriotyczne wiersze i opowiadania erotyczne, ale uważałem się za drugie skrzypce w naszej rodzinie literackiej i zazdrościłem pocie Bożego daru smutku, tym bardziej że wydawało mi się, iż powinno mu być dobrze na świecie.

Wszyscy radujemy się jego wierszem o wiosnie bardziej niż samą wiosną. Tylko nasz zawodowy cynik znajduje wulgarnie słowo pogardy. Cytując po rosyjsku długie fragmenty z Homera, a po niemiecku z Heinego, poddaje wiersz druzgoczącej krytyce. Mimo to utwór ten ani trochę nie traci w naszych oczach, chociaż bawi nas jego epigramatyczna surowość.

Ktoś wspomniał o mojej podróży i wyraził zazdrość, jak również współczucie, że wybieram się do kraju „złotej prasy”.

Późnym wieczorem znowu Krakowskie Przedmieście o trotuarach, które prowadzą każdą „klasę” oddzielnie do Ogrodu Saskiego: jednym spacerują tylko robotnicy, drugim gimnazjaliści, gimnazjalistki, eksterniści i urzędnicy. Znowu ciemne alejki, po których się gania łąpczywie za każdą sylwetką ubranej na brązowo gimnazjalistki.

Rano spaceruję raz jeszcze po wolskich łąkach. Zawędrowałem aż na Piaski, gdzie we własnej chałupie mieszka bogata ciocia Chome. Hoduje kury, trochę kaczek, a czasem nawet indyczkę. Ma dwie krzepkie córki o stopach pokrytych odciskami i rękach pachnących stale pietruszką, cebulą i pasternakiem. Starsza często wyciąga mnie z dala od domu w stronę linii kolejowej, dobry kawałek od domu, a nawet i za tory. Tam patrzy mi w oczy, owiewa gorącym oddechem i śpiewa chłopskie piosenki miłosne. Ale kiedy zaczynam się trochę rozgrzewać, jej „Jankele, nie!” „wypowiedziane” lodowatym tonem przywołuje mnie natychmiast do porządku.

Dwa tygodnie do odjazdu. Otrzymuję trochę złych wieści, które odbierają wszelki urok podróży. Cały czas myślałem, że nie będę podróżował sam, to znaczy, że będzie mi towarzyszyła dziewczyna i to jaka! Półtora roku młodsza ode mnie, wysoka, szczupła, blondynka z zadartym noskiem siksy. Brązowe oczy kontrastują tak cudownie z jasnymi włosami, że kiedy ją widzę, nie mogę się nadziwić ciepłu jej oczu i chłodowi włosów. Porusza się jak dorosła kobieta. Ma zgrabne, zwinne nogi i dość szerokie usta o cienkich wargach, ale za to miły uśmiech.

Pochodzi z prostej rodziny sami rzeźnicy lub pomocnicy rzeźników. Jej rodzice, wujowie i ciotki mają czerwone ręce o długich, zabarwionych krwią paznokciach, czerwone twarze, ciężkie stopy, ochryple głosy, ale ona sama wydaje się szlachetna i delikatna jak hrabianka. Uśmiech tej dziewczyny znamionuje być może dziedzictwo pokoleń, które wiedzą, czego chcą i dopinają swego celu, ale na jej ustach wulgarny wyraz twarzy przodków uległ przekształceniu w finezję i ogładę.

Są naszymi sąsiadami przy Nowej Drodze, gdzie mieszkamy naprzeciw chrześcijańskich i żydowskich jatek, w których wiszą wołowe i cielęce głowy o łagodnych, rozwartych, martwych aksamitnych oczach. Nawet jej nazwisko, w znanej mi wersji, niemieckie nazwisko rodziny, nasuwa na myśl rzeźniczy fach.

W owym czasie wiele żydowskich gimnazjalistek w naszym mieście znajduje się pod silnym wpływem moralności Tołstoja i zanim się zdobędzie pocałunek, trzeba przebrnąć przez długie cytaty z Nowego Testamentu: „Każdy, kto pożądliwie patrzy na kobietę, już się w swoim sercu dopuścił z nią cudzołóstwa...” Trzeba długo moralizować, zanim można pogrześcić, a grzeszeniem nazywa się trzymanie dziewczyny za rękę, patrzenie jej w oczy i recytowanie w ciemnościach Nadsona. Nie pamiętam już dokładnie, co dotarło wcześniej do naszego miasta, jajko czy kura, saninizm czy tołstojanizm, ale obydwie systemy cięły jak miecze po rajskim ogrodzie. Raz trzeba było odgrywać światowego Sanina z jego „Łapaj chwilę”, to znów Tołstoja z jego „Przygotuj się na królestwo niebieskie”.

A kiedy zabawa w moralność czy antymoralność zaczyna nudzić, rezygnuje się poniekąd z własnej godności i zawiera znajomość ze szwaczką lub pończoszarką. Co prawda ich palce są pokłute i popękane, ale za to śpiewają wzruszające żydowskie piosenki ludowe lub ballady Goldfadena i mają ciepłe ręce, które potrafią mocno przytulać. Jedyny stawiany przez nie wymóg to „Bój się Boga i ludzkich ust!” Wszystko inne wychodzi spontanicznie od dwojga młodych i nie trzeba najpierw mamrotać całych ustępów z Nowego Testamentu.

Matka wiedziała, że zwróciłem uwagę na rzeźnikównę i niezbyt jej się to podobało. Bała się małżeństwa, na które nie miała ochoty, bo na domiar złego kryła się za tym wszystkim ponura tajemnica. Bliska kuzynka dziewczyny wychrzciała się i wyszła za mąż za szejgeca, pomocnika rzeźnika, a żeby zupełnie pognebić rodziców, otworzyli chrześcijańską jatkę tuż obok nich. Rodzice dziewczyny chodzili zawstyżeni, bojąc się spojrzeć komukolwiek w oczy. A córka, prozelitka, była teraz w ciąży i sprzedawała wieprzowinę z niezwykłą wprawą.

Moja matka bała się, że wyląduję w podobnej rodzinie. W tym czasie zamieniłem z tą dziewczyną może z dziesięć słów, ale mimo to zrobiło mi się cieplej na sercu, gdy nagle dowiedziałem się, że ma podróżować ze mną do Ameryki, do wujka. (Jej matka wiedziała, że w Lublinie hańba rodzinna będzie się za nią ciągnąć.) Mieliśmy jechać razem koleją, wsiąść na statek i wysiąść w Castle Garden. Jej matka cieszyła się, że córce ma towarzyszyć ktoś znajomy, porządny młodzieniec, który będzie miał na nią oko (a może również na jej uśmiech?).

Ale coś stanęło na przeszkodzie i fakt, że musi wyjechać dwa tygodnie przede mną, stanowił dla mnie prawdziwe nieszczęście. Cios spadł niespodziewanie. Spotkała mnie w mieście i wyjaśniła z uśmiechem:

– Wiesz, jutro wyjeżdżam.

Ani z jej głosu, ani z wyrazu twarzy nie mogłem wywnioskować, czy dla niej jest to równie duży cios, jak dla mnie. Zrobiło mi się podwójnie smutno. Poczułem się samotny i nagle ogarnęło mnie przerażenie na myśl o tej długiej podróży, którą miałem odbyć samotnie. Wyciągnęła do mnie rękę o długich spiczastych palcach.

– Zobaczmy się w Nowym Jorku.

Tej nocy czułem się, jakby porzuciła mnie żona.

Najdłuższe podróże, na jakie do tej pory się odważyłem, były z Lublina do Warszawy, do ciotki Gnendel. Ale zawsze towarzyszył mi dziadek. Sam zacząłem podróżować dopiero po jego śmierci. Z dziadkiem jadę zwykle czwartą klasą. Pociąg wlecze się i wlecze, i wydaje się, że dokłada wszelkich starań, aby przedłużyć cztero- czy pięciogodzinną podróż do dwunastu godzin – wyruszyliśmy w pełni dnia, a docieraliśmy do celu aż po północy. Jedzie się i jedzie przez wioski i miasteczka, spotykając cały dzień przeróżnych ludzi [...]

Mój dziadek miał stały zwyczaj. Rozwiązywał chustkę i pożywiał się jajkiem na twardo, kromką chleba, węgierką, złota gruszką, z której pryskał mu sok na brodę i jednocześnie prowadził ze mną rozmowę: „Po co zabiera takiego łobuza jak ja w odwiedziny do Hafeca Chaima, wielkiego cadyka? I po co wydał pół rubla na książkę, skoro ja nawet jej nie otwieram?” Ale dziadek nie złościł się. Ciągnął ten monolog dla samej przyjemności, bo człowiek musi przecież „o czymś mówić, zanim zaśnie”. Pociąg kołysze się, a dziadek razem z nim. Wkrótce zaczyna chrapać z głową zwieszoną na brodę.

Wchłaniam oczami pola, drzewa, lasy, rzeczki, które pociąg pokonuje wolno, z sapaniem. W nocy pasażerowie rozkładają się na wszystkich ławkach, dolnych, górnych, a nawet pod ławkami. Jedynie konduktor z okopconą latarnią i swoim „A bilet jest?” zakłóca ciszę. [...]

Rok 1934

Jakiś dwudziestoparoletni młodzieniec wszedł do mojego pustego przedziału. Ukłonił się i usiadł naprzeciw mnie przy oknie, które skupiało w sobie fragmenty lasu, pól, rzeczek i bładniebieskiego letniego nieba. Obojętnego nieba – od razu było widać, że przez cały dzień nie będzie ani błyskawic, ani piorunów, ani deszczu.

Szczupły młody człowiek uśmiechnął się ciepło, zanim zdecydował się otworzyć usta. Poprosiłem go, aby wybaczył mi moją toporną polszczyznę. Wyjaśniłem, że używam jej po raz pierwszy od dwudziestu lat.

– Skąd pan? Cudzoziemiec?

– Nie, nie cudzoziemiec, emigrant. Aż z Nowego Jorku.

– W takim razie musi pan nałożyć słuchawki i pozwolić, aby powitała pana nasza muzyka.

Wskazał na słuchawki od radia, a ja posłusznie nałożyłem je na uszy.

Pociąg pędził przed siebie, a wraz z nim piski tandetnej kawiarnianej muzyki, która teraz drażniła uszy. Niemniej byłem mu wdzięczny za jego radę. Zwykle polskie piosenki o bardzo prostych słowach miały wewnętrzny urok, nie różniły się wiele od polskiego krajobrazu – trawy, lasów i dolin, które migąły za oknem.

– Wspaniałe – zawołałem – dźwiękowa flora i fauna kraju!

– Ano tak – odparł rozpromieniony. – Nasza bieda, nasza radość i nasz smutek. Nasze własne.

Zaczął czyścić szkła, spoglądając na mnie przygasłymi, piwnymi oczami. Bez okularów oczy jego wydawały się bystre i teraz rozpromieniał je uśmiech. Dwadzieścia lat temu niewiele widziałem takich twarzy wśród polskiej młodzieży. Wiele dzieliło oblicze płowowłosego wiejskiego chłopaka o cielejącym wzroku i pryszczowatej twarzy od tego europejskiego wizerunku naprzeciw mnie. Ta szlachetna twarz kształtowała się w atmosferze własnego kraju. Powiedziałem mu o tym wszystkim w możliwie najdelikatniejszy sposób, nie pomijając jednak porównania do chłopskiego dziecka z przeszłości. Wyjaśniłem mu, że jestem mu równie wdzięczny za muzyczne powitanie, jak i za sam jego wygląd.

Nowy i inny.

Zmarszczył czoło i wyczułem w nim niepokój. Cóż – pomyślałem sobie – ten młody człowiek nosi niemalże żydowski garb na plecach. My nosimy garb wygnania, a on ugina się pod ciężarem młodego kraju, młodego rządu ze wszystkimi problemami i chorobami wieku dziecięcego. Nosi na sobie jarzmo odpowiedzialnego obywatela.

– Ciężko pracujemy, aby podnieść prestiż Polski na świecie.

Ponownie zdjął okulary i zaczął je wycierać, ale tym razem po to, aby uniknąć mojego wzroku.

– Jest pan Żydem, prawda? – Słowo „Żyd” wymówił miękko, bez jadu. – Są i tacy wśród nas, którzy niszczą wspaniałe polskie tradycje, ale to są chwasty. My je wyplenimy.

Uścisnął mi mocno rękę, jakby uroczyście składając święte przyrzeczenie. Rozumiemy się nawzajem i nie mówimy więcej na ten temat.

Był inżynierem na rządowej posiadłości. Pracował przez krótki czas w Warszawie, a teraz został przeniesiony do innego miasta, bliżej domu. Ale nie chce rozmawiać o sobie. Zasypuje mnie pytaniami o Amerykę, Roosevelta i mój powrót do domu po dwudziestu latach.

On także zmierza do domu, ale jak tu porównywać jego podróż z moją pielgrzymką! Odwiedził swoich rodziców zaledwie pół roku temu: w moim przypadku minęło dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat! Nie może się nadziwić.

– Powinienem być cicho i nie niepokoić pana w tak świętej chwili. Dwadzieścia lat rozłąki z krewnymi, a teraz powrót do domu. To wielki dramat. [...]

Zwierzył mi się, że jego matka ubolewa nad tym, iż nie odwiedza jej przynajmniej dwa razy w roku. Jest żrenicą w jej oku, jedyny, który pozostał przy życiu spośród sześciorga dzieci. Pięcioro zmarło jeszcze przed jego urodzeniem, a troje było młodszych od niego, Dzieci to coś najbardziej

niepewnego w małych polskich miasteczkach. Dopóki nie osiągną wieku dziesięciu czy dwunastu lat, nie można ich z całą pewnością uznać za członków rodziny.

– Trzech z moich braci także zmarło. Dwóch zanim się urodziłem, trzy- czy czteroletni szkrab zamknął oczy w mojej obecności – powiedziałem.

Odwróciłem głowę w stronę okna i odszedłem sam – jak to dopiero co wyraził – na moją *via dolorosa*...

Hercke. Braciszek, który sprowadził śmierć do naszego domu. Ojciec i kilku mężczyzn stoi nad jego kołyską, gdy oddaje ostatnie tchnienie. Ojciec łka „Słuchaj, o Izraelu”. Oczy Hercka zachodzą mgłą, a ojciec towarzyszy jego duszy żałobnymi okrzykami, aż w kołysce zapada cisza.

Był już późny wieczór. Wszyscy położyliśmy się spać. Ojciec sam czuwał nad kołyską. Wydawało się, że Hercke jest wciąż z nami tej nocy, że nie został jeszcze od nas odcięty. Ciągłe się budziłem niczym w gorączce i słyszałem, jak ojciec odmawia psalmy i łka jak najciszej, aby nikogo nie obudzić.

Wczesnym rankiem obudziło mnie zawodzenie, ale tym razem była to matka. Siedziała przy przykrytej kołysce i zawodziła, jakby czytała Biblię po żydowsku. Jej słowa nie przypominały tych będących w codziennym użyciu, brzmiały starodawnie, jakby wzięte ze świętych ksiąg dla kobiet. Zniknęła gdzieś jej żydowska, pobożna cierpliwość. Prowadziła teraz dysputę z Bogiem. Wysuwała oskarżenia. Kręciłem się smutny po domu. Wszystko mnie bolało. Nawet oddychanie sprawiało mi ból. Starłem się nie oddychać, a kiedy już nie mogłem dłużej wytrzymać, łapałem oddech, jęcząc. Błagałem matkę, aby pozwoliła mi choć pocałować złotą główkę braciszka, ale ona łamiącym się głosem wyjaśniła, że jest to sprzeczne z żydowskim zwyczajem. Mimo to musiała ustąpić i odkryć jego twarz.

– Widzisz teraz, moje dziecko, co zostało z jego anielskiej buzi!

Czułem ucisk w sercu. Matka dalej wysuwała oskarżenia pod adresem Boga. Kierowała swoje zarzuty w stronę sufitu, bezpośrednio do Najwyższego, i domagała się sprawiedliwości.

– Czy to sprawiedliwie, aby taki promyczek został odcięty i wystany tak wcześnie do grobu? Czym ta niewinna duszyczka zasłużyła sobie na przedwczesną śmierć?

Z sufitu nie dochodziła żadna odpowiedź. Czułem, że matka nie dość mocno wstrząsnęła Tronem Chwały. Przypomniałem sobie, że dwóch braci zmarło jeszcze przed moim urodzeniem. Teraz przyszedłem matce z pomocą, dając jej jeszcze jeden niezbity dowód przeciwko Jego Imieniu.

– Mamo, Żyd powinien oddać jedną dziesiątą swego majątku, a od ciebie zabrano już więcej. Czy to sprawiedliwe?

Czułem, że to mocny argument. Byłem przekonany, że nie można go zlekceważyć, Matka natychmiast pojęła słuszność mojej skargi do Pana Wszechświata i zaczęła znowu lamentować:

– Panie Wszechświata. Żyd musi oddać w ofierze jedną dziesiątą swego majątku, a Ty zabrałeś mi już o wiele więcej. Czy to sprawiedliwe?

Trochę się uspokoiłem. Ucieszyło mnie, że moja matka, osoba dorosła, używa dokładnie takich samych słów, jak ja w swojej rozprawie z Bogiem. Czułem, że przyparliśmy Go do muru. Ja, mama i Hercke wygraliśmy. Na taki argument nie było usprawiedliwienia. Żadnego. Sam Bóg musi się teraz wstydzić; ale co za szkoda – krzywda została już wyrządzona! Lalka o woskowej twarzy nigdy nie stanie się na powrót żywym Herckiem. Jednak im dłużej matka kierowała swoje słowa do wybielonego sufitu, tym bardziej czułem się usatysfakcjonowany. Wygraliśmy i tam na górze nie potrafili teraz znaleźć należytej odpowiedzi!

Wkrótce wszedł, kulejąc, jakiś Żyd ślepy na jedno oko. Niósł skrzynkę przymocowaną do boku rzemieniem. Zerkał niepewnie, jakby zakradał się do obcego domu. Przypominał grajka z mandoliną bez strun. Matka zerwała się na równe nogi. Żyd stał bezradnie i szukał męskiej pomocy u ojca, który, szlochając, wprowadził go do środka, przeprosiłem współtowarzysza podróży za ten długi trans.

– Moja matka jest bardzo chora – powiedziałem i nagle uderzyła mnie myśl: Kto wie jak teraz z nią jest?

Trawa migająca za oknem sprawiała wrażenie spalonej słońcem. Stary pies obszczekiwał pociąg. Mały smutny chłopak wymachiwał czapką. Gęsty zagajnik przyciągnął słońce i rozbił je na tysiące iskierek, które złotem okryły drzewa.

Mój towarzysz ożywił się, kiedy mu oznajmiłem, że zamierzam wybrać się do Związku Sowieckiego.

– Związek Sowiecki! – jego twarz znowu się zachmurzyła. Zdjął okulary, wytarł chusteczką i spojrzał na mnie bystrym wzrokiem.

– Jakie życzenia powinienem im przekazać w imieniu inteligenta, młodego Polaka?

Długo wycierał okulary, aż w końcu zaczął mówić, starannie ważąc słowa.

– W imieniu wielkiej części polskiej młodzieży – powiedział wolno, ale z żarliwością mówcy – niech pan im powie, że śledzimy z wielką ciekawością wszystko, co dzieje się w Związku Sowieckim. Więcej nie mogę panu powiedzieć. Ale niech pan na pewno podkreśli, że jesteśmy zainteresowani. Niech pan powie, że w związku z tym spoczywa na nich moralna odpowiedzialność. Muszą się wystrzegać popełniania błędów. To znajdzie oddźwięk u nas, przedłużą nasz krok. Ich błędy są przeciwko nam jako krajowi, z którym graniczą, przeciwko całemu światu, ale świat znajduje się daleko od Związku Sowieckiego, a my jesteśmy blisko, na wyciągnięcie ręki.

Nagle mój współtowarzysz spojrzał na zegarek i twarz mu się rozjaśniła.

– Jeszcze pół godziny i dotrze pan do celu. Dokładnie trzydzieści dwie minuty! Nie, nawet nie tyle!

Bardzo się ożywił na tę myśl.

– Z dwudziestu lat wygnania zostało – trzymał zegarek w ręku – dokładnie trzydzieści jeden minut.

Wyrzał za okno i ogarnęło go wesołe podniecenie. Nie chował zegarka tylko dalej liczył minuty.

Im bardziej się entuzjazmował liczeniem minut, tym wyraźniej w mojej wyobraźni nabierał kształtów nieznanego katorżnika z rozwianą czupryną i zarostem na brodzie. Epizod, opowieść charakterystyczna, a może legenda o Czechowie. Przeżywałem teraz tę historię, ja z moją zaróżowioną twarzą przy otwartym oknie, a on z zegarkiem w ręku.

Katorżnik zwolniony po dziesięciu latach spędzonych na Sybirze wraca do domu do rodziców. Ta informacja wywarła tak wielkie wrażenie na Czechowie, że przeżywał ją przez kilka dni. Śledził trasę podróży, od miasta do miasta. Studiował mapy i rozkłady jazdy, aż wiedział co do godziny i minuty, kiedy katorżnik ma dotrzeć do domu i znaleźć się w ramionach postarzałych rodziców. Była to długa i trudna podróż, ale tego dnia, kiedy miało się to wydarzyć, Czechow był tak poruszony radosnym oczekiwaniem, że nie mógł sobie znaleźć miejsca. Ciągłe wyciągał zegarek z kieszeni. Jeszcze cztery godziny, jeszcze dwie, jedna, pół godziny! I tak Czechow sam przeżył cały dramat uwolnienia.

– Człowieku, zostały jeszcze ze dwie albo trzy minuty! Może nawet mniej!

Dało się słyszeć kilka ostrych gwizdów lokomotywy. Najpierw pojawiły się kominy fabryk, a potem miniaturowe domki otoczone zielenią. Niedługo miała zapaść noc i biedne, ale schludne chałupki przeglądały się w ochłodzonych promieniach słońca.

Młody Polak stanął obok mnie i położył mi rękę na ramieniu, jakby chcąc ulżyć w tej ostatniej, trudnej chwili. W oczach miał łzy. Pociąg zaczął sapać coraz wolniej. Jednocześnie z konduktorem Polak wykrzyknął radośnie:

– Lub-lin!

Przełożyła z jidysz Monika Adamczyk-Garbowska

Pierwodruk tłumaczenia w języku polskim: „Scriptores”, nr 1/2003 (27), s. 131–133.